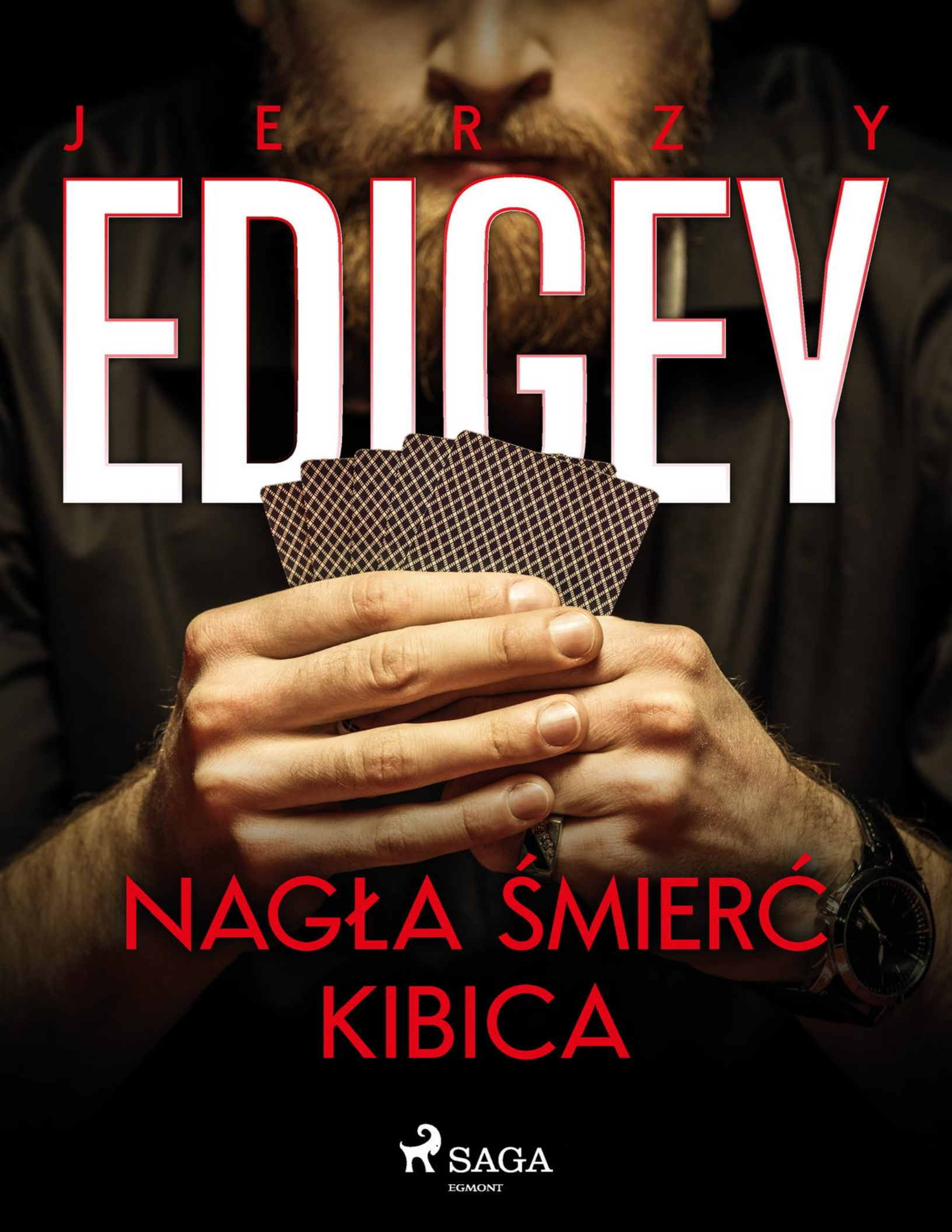


A close-up photograph of a man with a thick, dark beard and mustache. He is holding a fan of playing cards in his hands, which are positioned in front of his face. The cards have a dark, patterned back. He is wearing a dark shirt and a watch on his left wrist. The background is dark and out of focus.

J E R Z Y

EDIGEY

NAGŁA ŚMIERĆ
KIBICA

A close-up photograph of a man with a thick, dark beard and mustache. He is holding a fan of playing cards in his hands, which are positioned in front of his chest. The cards have a dark, patterned back. The man is wearing a dark shirt and a watch on his left wrist. The background is dark and out of focus.

J E R Z Y
EDIGEY

NAGŁA ŚMIERĆ
KIBICA

 SAGA
EGMONT

Jerzy Edigey

Nagła śmierć kibica

Saga

Nagła śmierć kibica

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów, z których pochodzi.

Copyright © 1978, 2021 Jerzy Edigey i SAGA Egmont
Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728049624

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

Rozdział I

Wielki szlem

Grano przy dwóch stolikach. Spotkania brydżowo-towarzyskie u państwa Wojciechowskich miały już swoją tradycję. Znany chemik, profesor Zygmunt Wojciechowski, nie był namiętnym brydżystą, ale lubił bardzo przyjmować u siebie małe grono przyjaciół. Pretekstem do takich spotkań był właśnie zielony stół i dwie talie kart. Raz, najwyżej dwa razy w miesiącu zapraszano trzy, najwyżej cztery osoby. Zazwyczaj w sobotę, na piątą po południu.

Najpierw podawano czarną kawę z tortem lub szarlotką upieczoną przez panią domu. Do tego bogata kolekcja koniaków i likierów stojąca opodal na małym barku na kółkach. Rozmowa trwała jakąś godzinkę. Później czwórka zasiadała do kart, zaś Elżbieta Wojciechowska, zachowując jako gospodyni przywilej pierwszej „wychodzącej”, uprzątała naczynia i robiła ostatnie przygotowania do kolacji. Tę podawano około ósmej wieczorem. Pani domu starała się zawsze olśnić zaproszone kobiety „dankiem”, którego nikt nie znał.

Grano o bardzo niskie stawki. „Po gazetce”, czyli dawniej po 50 groszy punkt. Kiedy ceny gazet podskoczyły do złotych, i u profesorostwa Wojciechowskich podniesiono stawkę. Pomimo tak niskich „bodźców materialnych” brydżowe boje były nieraz zacięte i dochodziło nawet do dość ostrej wymiany słów. Wiadomo, jak to przy brydżu. Zwłaszcza jeżeli grał przyjaciel profesora, mecenas Leonard Poturycki. Adwokat, choć dobry gracz, nigdy nie

chciał się przyznać do własnych błędów. Zawsze wyszukiwał je u partnera. Pod tym względem niewiele lepszy był i doktor Witold Jasieńczak. Panie grały znacznie spokojniej i z wyrozumiałością traktowały wysoki partnerów, przede wszystkim własnych mężów.

Wszyscy tu znali się doskonale. O każdym partnerze wiedzano, co jest jego mocną, a co słabą stroną. Gdy Elżbieta Wojciechowska licytowała bez atu, wiadomo, że ma bombę w kartach, bo przecież czuje się pewniejsza przy rozgrywaniu gry „kolorowej”. Kiedy zaś doktor Jasieńczak zgłaszał jakiś kolor i po poparciu przez partnera nagle przerzucał się na bez atu, także wszyscy wiedzieli, że odezwał się z vicerenonsu albo najwyżej z dwoma blotkami.

Ale dzisiejszy brydż był nieco inny. Tak się złożyło, że z Anglii przyjechał do Warszawy znany tamtejszy fizyk, doktor Henryk Lepato, zresztą Polak. Uczony miał wygłosić dwa odczyty na Politechnice Warszawskiej i rektor tej uczelni prosił profesora Wojciechowskiego, aby „holował” fizyka w stolicy Polski, gdyż poznał go już uprzednio na jakimś kongresie w Londynie. Jednocześnie do Zakładu Chemii Tworzyw Sztucznych, na którego czele stał właśnie Wojciechowski, przyjechał kolega, profesor z Gliwic, Andrzej Badowicz.

W tej sytuacji państwo Wojciechowscy uznali, że najlepiej będzie zaprosić obu uczonych na swojego sobotniego brydża, a listę gości uzupełnić do dziesiątki, tak żeby złożyły się dwa pełne stoliki. Poza mecenasem Poturyckim i jego żoną Janiną oraz doktorem Jasieńczakiem i panią Krysią Jasieńczakową w dzisiejszym brydżu uczestniczyli Mariola Boweri, młoda przystojna aktorka filmowa, ciągle jeszcze czekająca na swoją wielką rolę i nosząca w dowodzie osobistym bardziej prozaiczne nazwisko – Maria Skowronek, a także pan docent Stanisław Lechnowicz.

Wszyscy prócz Anglika i Ślązaka wiedzieli, że Mariola Boweri jest nową „narzeczoną” docenta.

Grano w dwóch pokojach połączonych rozsuwaną ścianą. Jedno z tych pomieszczeń służyło jako „living-room”. Drugie pełniło funkcję pokoju bibliotecznego. Ściany obudowane były regałami dźwigającymi przynajmniej dwa tysiące książek. Przeważnie różnorodnych dzieł z zakresu chemii. Wojciechowski mieszkali w Warszawie przy ulicy Prezydenckiej we własnej, wygodnie urządzonej willi. W suterenie znajdował się garaż oraz pracownia chemiczna. Parter to właśnie wymienione przed chwilą dwa pomieszczenia plus kuchnia i łazienka. Pierwsze piętro mieściło trzy pokoje: pani Elżbiety, profesora i ich sześciolatniego synka Michała Sebastiana. Dlaczego Sebastiana? Tego nikt, nawet Wojciechowski, nie umiał wytłumaczyć, bo wcale nie był zwolennikiem Bacha.

Przed kolacją gra toczyła się jakoś niemrawie. Zwykle tak bywa, kiedy grają ludzie, którzy zobaczyli się pierwszy raz w życiu i od razu zasiedli do kart. Ale po smacznej i dość obficie podlanej alkoholami kolacji brydż znacznie się ożywił. Zaczęły „chodzić” wysokie gry. Profesor Wojciechowski aż dwa razy licytował szlemika, co prawda bez powodzenia, ale dlatego że dwukrotnie trafił na wybitnie złośliwy rozkład. W pokoju stołowym grała piątka: doktor z Anglikiem przeciwko pani Boweri z mecenasem. Elżbieta Wojciechowska właśnie była „wychodzącą”. W bibliotece walczyli panowie przeciwko paniom. To znaczy, że profesor Wojciechowski grał ze swoim kolegą z Gliwic, zaś Janeczka Poturycka miała za partnerkę Krysę Jasieńczakową. Przy tym stoliku na razie pauzował docent Lechnowicz.

Pani Boweri rozdała karty.

Obie strony były po partii. Pani Mariola spasowała. Anglik po krótkim namyśle zgłosił kiery. Mecenas Poturycki,

któremu ten kolor u przeciwników wybitnie odpowiadał, skwapliwie spasował. Doktor mając renons w kiery szybko przeniósł na piki. Pani Boweri ponownie spasowała. Teraz pan Lepato odpowiedział trzy piki. Mecenas krótko: pas. Doktor pokazał następny kolor i zgłosił cztery karo. Licytacja toczyła się teraz tylko pomiędzy Jasieńczakiem a Lepato, bo pani Boweri i mecenas Poturycki stale pasowali. Anglik na cztery karo odpowiedział pięcioma treflami. Doktor przeszedł ponownie na piki, a wtedy Lepato zgłosił szlemika w tym kolorze. Doktorowi Jasieńczakowi aż pot wystąpił na czoło. Chwilę się namyślał i wreszcie ogłosił donośnym, chociaż nieco drżącym głosem:

- Wielki szlem w piki.
- Kontra! - zgłosiła Mariola mając trzecią damę atutową i króla karo za ręką.

Jeszcze trzy kolejne: pas, pas, pas i pani Boweri położyła na stole ósemkę trefl.

W obu pomieszczeniach zapanowała cisza. Nawet ci grający w bibliotece, przy drugim stoliku, przerwali grę. Licytowanie szlema, zwłaszcza w takich „amatorskich” rozgrywkach, nieczęsto się przecież zdarza. Nie grający - Elżbieta Wojciechowska i docent Lechnowicz - znaleźli się za plecami doktora.

Pan Lepato, usiłując zachować spokój, wykladał karty na stół.

Jasieńczak namyślał się, jak zagrać. Czy przypadkiem pani Boweri nie wyszła spod króla? Wiedział, że gracze nieraz robią takie zmyłkowe pociągnięcia. A przecież od tej decyzji zależało, czy szlem wyjdzie.

- Trzeba bić asem - odpowiedział Lechnowicz.
- Wypraszam sobie - zawołał mecenas Poturycki. - Pan widział karty!

- Sam potrafię grać - zaznaczył doktor, jednakże przebił ósemkę treflową asem ze stołu.

- Ja nie gram - Poturycki demonstracyjnie rzucił karty.
- Ależ panowie! - Elżbieta Wojciechowska próbowała interweniować.

- To nie fair play - stwierdził Anglik. - Kibic musi być cichy i bezwonny.

- Zawsze bym położył asa i bez cudzych głupich uwag - bronił się Jasieńczak.

- Sam pan jest głupi. Przecież widziałem, jak pan już sięgał po waleta - roześmiał się Lechnowicz. - Tu trzeba grać zdecydowanie. Inaczej się nie wygra. Mariola kontrowała, więc należy impasować piki w tamtą stronę.

- Czytałeś powieść „Nagła śmierć kibica”? - Mariola także była już wściekła na swojego przyjaciela.

- Po impasie - docent tak się zachowywał, jak gdyby pragnął wywołać wielką awanturę - trzeba tak grać, żeby mecenas znalazł się w przymusie i zrzucił albo karo, albo kiery. Wtedy przebitkami doktor wyrobi sobie jeden z tych kolorów.

- Tego już trochę za dużo - protestował Jasieńczak.

- Co się pan dziwi, doktorze - głos Poturyckiego drżał hamowaną wściekłością - donosiciel zawsze zostanie donosicielem.

- A szmatława adwokacina szmatławą adwokaciną - odciął się Lechnowicz.

Mecenas zerwał się z miejsca, z hałasem odsuwając fotel. Docent z zaciśniętymi pięściami ruszył w jego stronę.

Na szczęście Elżbieta Wojciechowska znalazła się pomiędzy mężczyznami.

- Co robicie, głupie koguty. Opanujcie się. Jak wam nie wstyd!

- Bo on... - Poturycki urwał w pół zdania.

- Nie pozwolę się obrażać - Lechnowicz poczerwieniał na twarzy.

- Muszę stwierdzić - dorzucił Anglik - że docent zachował się w sposób wysoce nietaktowny.

- Po co się wtrąca do cudzej gry - Jasieńczyk dodał swoje trzy grosze. - Nie od dzisiaj gram w brydża.

Jeszcze chwila, a kłótnia przybrałaby większe rozmiary. Do rękoczynów było już bardzo blisko. Profesor Zygmunt Wojciechowski uznał za stosowne przyjść z pomocą żonie.

- Panowie, dajcie spokój. O życie gracie? Doprawdy zachowujecie się jak dwunastoletni chłopcy. Co się takiego stało? Przecież widać, że szlem jest do wygrania i tak znakomity gracz, jak doktor, nie mógłby spartolić tej rozgrywki. A tobie, Stachu, bardzo się dziwię. Zawsze taki opanowany...

- Stasio - wtrąciła pani Boweri - ostatnio źle się czuje. Już parę razy radziłam mu, żebyśmy gdzieś wyjechali, choćby na krótki odpoczynek.

- Co z ciebie za adwokat - Wojciechowski nadal usiłował zbagatelizować to przykre zajście - jeżeli jedna uwaga kibica wyprowadza cię z równowagi? Siadaj na swoje miejsce.

Poturycki posłusznie zastosował się do polecenia pana domu.

- Bardzo przepraszam za swoje odezwanie - pan Lepato, choć warszawianin z pochodzenia, podkreślił swoje nienagannie angielskie wychowanie. - Proszę mi wybaczyć.

- Zaraz dam wam po koniaku na uspokojenie nerwów - zaofiarował się profesor. - Jakie macie kolory?

Na barku na kółkach, stojącym w pobliżu, znajdowała się cała bateria trunków. Tam też grający stawiali kieliszki. Żeby się nie pomieszały, każdy miał inną, kolorową, okrągłą podstawkę z papieru. Goście musieli jedynie zapamiętać swój kolor. To było bardzo praktyczne.

- Mój czerwony - stwierdził Jasieńczyk.

- Ja jak zwykle na zielonym - przyznał mecenas.

- Mój biały i pamiętam, że pana Lepato był brązowy - informowała Mariola.

Profesor Wojciechowski sprawnie serwował napitki gościom. Napięcie zostało rozładowane.

- A twój, Stachu? - Elżbieta zapytała docenta.

- Niebieski - odpowiedział Lechnowicz.

Podeszła do barku i za chwilę trzymając w rękach dwa kieliszki podała jeden z nich docentowi. Ujmując go za ramię, lekko odciągnęła mężczyznę od stolika z grającymi.

- Zachowałeś się jak barbarzyńca - powiedziała cicho. - Wstyd mi za ciebie.

- Bardzo cię przepraszam - docent pocałował panią domu w rękę - ale naprawdę ostatnio trochę źle się czuję. Sam nie wiem, co mi jest.

To mówiąc Lechnowicz jednym haustem wychylił kieliszek koniaku. Aż się skrzywił przełykając mocny płyn.

Chwilę stał bez ruchu z półotwartymi ustami i coraz większym grymasem bólu na twarzy. Usiłował ręką sięgnąć do serca. Z drugiej kieliszek wypadł mu na dywan. Docent zatoczył się i padając zawadził o stojącą w pobliżu kanapę. Znieruchomiał w pozie półleżącej, z głową opartą o siedzenie kanapy, z oczami szeroko otwartymi.

Obecni w pokoju zerwali się ze swoich miejsc.

Doktor Jasieńczak pierwszy podbiegł do leżącego. Pochylił się nad nim. Wziął za rękę.

- Pomóżcie - powiedział. - Musimy go położyć na kanapie.

Wojciechowski z Lepato dźwignęli Lechnowicza i ułożyli go według wskazań lekarza. Doktor rozluźnił mu krawat, rozpiął koszulę i badał chorego.

- On umiera - stwierdził z przerażeniem. - Trzeba natychmiast wezwać pogotowie! Niech przysyłają karetkę reanimacyjną.

- Ja zatelefonuję - zaofiarowała się Elżbieta.

- Lepiej, jeżeli ja sam to zrobię - Jasieńczak przeszedł do biblioteki, gdzie na biurku stał telefon. Za chwilę usłyszano jego głos.

- Tu doktor Jasieńczak - mówił. - Dzwonię z ulicy Prezydenckiej pięćdziesiąt pięć. Boczna od Filtrowej. W mieszkaniu profesora Wojciechowskiego zachorował Stanisław Lechnowicz. Przypuszczalnie zawał serca. Stan bardzo ciężki. Potrzebna natychmiast karetka reanimacyjna. Dziękuję, czekamy.

Lekarz wrócił do chorego. Znowu pochylił się nad nim.

- Nie żyje - powiedział głuchym głosem. - Z wielką przykrością...

- To niemożliwe! - zaprotestowała pani Boweri.

- Niestety, to prawda.

- Trzeba go ratować! - zawołała Janina Poturycka.

- Obawiam się, że tu już żaden ratunek nie pomoże.

Elżbieta Wojciechowska wybuchnęła histerycznym śmiechem. Z trudem zdołała się opanować. Mariola Boweri płakała cicho. Pozostali zbili się w gromadkę koło kanapy. Spoczywał na niej zmarły. Człowiek, który jeszcze przed pięciu minutami był w gronie żywych.

- Może sztuczne oddychanie? - zauważył Anglik.

- Tu nic nie pomoże.

- Co za straszne nieszczęście - Krystyna Jasieńczakowa ogromnie przejęła się tragicznym wypadkiem. - Co teraz zrobimy?

- Mam nadzieję, że uda mi się namówić lekarza z pogotowia, aby zabrał zmarłego ze sobą. To byłoby najlepsze rozwiązanie. Inaczej Zygmunt nie uniknie wielu najrozmaitszych kłopotów.

- O czym mówisz?

- Nagły zgon w obcym domu automatycznie powoduje wszczęcie dochodzenia milicyjnego ze wszystkimi jego konsekwencjami, a więc przesłuchiwaniami obecnych,

sekcją zwłok, decyzją prokuratora na wydanie ciała rodzinie i zezwolenie na pogrzeb. Sam byłem przez wiele lat lekarzem milicyjnym i możecie mi wierzyć, te formalności nie są przyjemne dla rodziny, a tym bardziej dla kogoś, u kogo zdarzył się wypadek. Milicja traktuje takiego człowieka jako podejrzanego.

- Co za straszny wypadek! - jęknął Wojciechowski.

- Bądź przygotowany, że jeżeli nie uda mi się sprawy załatwić z pogotowiem, będziesz miał wiele przykrości dodatkowych. Ale takie są przepisy prawa.

W tej chwili rozległ się sygnał karetki pogotowia zatrzymującej się przed willą profesora. Za minutę do pokoju wszedł lekarz. Młody człowiek miał płaszcz narzucony na biały kitel. W ręku trzymał walizeczkę.

- Gdzie chory? - zapytał nie tracąc czasu na jakiegokolwiek formalności czy też powitania.

Nie musiał czekać na odpowiedź, bo w tej samej chwili dostrzegł Lechnowicza leżącego na kanapie.

- Panie kolego - doktor Jasieńczak skierował się w stronę przybyłego - obawiam się, że pańska interwencja jest spóźniona. Docent Stanisław Lechnowicz zmarł na minutę przed przyjazdem pogotowia.

- Pan... - młody lekarz spojrzał ze zdziwieniem na mówiącego.

- Przepraszam. Jestem Witold Jasieńczak - doktor wyciągnął rękę do młodszego kolegi.

- Żałuję, że w tak smutnych okolicznościach przyszło mi poznać pana doktora - młodemu lekarzowi nazwisko Jasieńczaka, bodaj najslawniejszego w Polsce kardiologa, mówiło bardzo wiele. Z całym więc szacunkiem uściśnął podaną mu dłoń, a potem zbliżył się do kanapy. Pochylił się nad leżącym.

- Tak - potwierdził diagnozę Jasieńczaka. - Fakt zgonu nie ulega żadnej wątpliwości.

- Klasyczny zawał o gwałtownym przebiegu - wyjaśnił Jasieńczak. - Od razu obawiałem się, że wszelka pomoc przyjdzie za późno.

- Niestety - potwierdził lekarz pogotowia.

- Elżbietko - Jasieńczak zwrócił się do Wojciechowskiej - gdzie moglibyśmy spokojnie porozmawiać?

- Przejdźcie do pokoju Zygmunta. Znasz przecież drogę. Obaj lekarze skierowali się na pierwsze piętro.

Rozdział II

Nietaktowny młody lekarz

Pokój profesora umeblowany był nad wyraz skromnie. Pod ścianą stał tapczan nakryty wzorzystą materią. Tutaj także jedną ścianę zajmowały półki z książkami. Poza nimi w pokoju znajdowało się wielkie biurko, całe zavalone papierami, oraz wygodny fotel obrotowy i przed biurkiem dwa foteliki z małym stoliczkiem. Tutaj właśnie zaprosił doktor Jasieńczak młodszego kolegę, jednocześnie wyciągając w jego kierunku paczkę amerykańskich papierosów.

- Dziękuję, nie palę - odmówił lekarz.

- Ja nie mogę tego powiedzieć o sobie. Wiem, jak mi szkodzą papierosy, a jednak nie mogę się powstrzymać. Parę razy próbowałem rzucić palenie. Nic z tego nie wyszło. Ale naturalnie nie po to zaprosiłem pana kolegę, aby rozmawiać o szkodliwości tytoniu, kiedy trup znajduje się w pokoju pod nami.

- Przykra sprawa - zauważył młody człowiek.

- Bardzo przykra. Przyjęcie, dom pełen gości. Gra w karty. Mała sprzeczka przy brydżu, jak to zwykle bywa, i nagle człowiek łapie się za serce. Ledwie go ułożyliśmy na kanapie, już zakończył życie.

- Na to nie ma rady. Przypuszczam, że gdybyśmy nawet byli na miejscu w momencie zawału, także nie zdołalibyśmy mu pomóc.

- To na pewno. Ale co teraz robić? - martwił się doktor Jasieńczak.

- Nic tu po mnie. Zawiadomię milicję i wracam na Hożą.
- Właśnie o tym chciałem z panem kolegą porozmawiać.
- O czym? - młody człowiek wyraźnie zeszywniał.
- Sam pan rozumie. Taki skandal dla profesora

Wojciechowskiego.

- To ten sławny chemik? - zainteresował się lekarz pogotowia.

- Właśnie on. Ten szpakowaty wysoki pan, który otworzył wam drzwi.

- No tak - zgodził się młody człowiek. - Dla właściciela mieszkania nie jest to rzeczywiście przyjemne. Dom pełny milicji, przesłuchania i tak dalej... Ale nic na to nie mogę poradzić.

- Chciałbym tego wszystkiego oszczędzić profesorowi Wojciechowskiemu. Rozgłos tej sprawy mógłby mu zaszkodzić. Pan zapewne słyszał, że kandydaturę profesora wysuwa się do Nagrody Nobla?

- Aż tak? - zdziwił się lekarz. - Nie słyszałem, chociaż wiem, że profesor Wojciechowski jest uczonym o światowej sławie. Jednym z największych specjalistów od tworzyw sztucznych.

- Dlatego też uważam, że powinniśmy temu człowiekowi oszczędzić niepotrzebnych, nie zawinionych przez niego przykrości. Bo czy to jego wina, że gość zaproszony na brydża umiera podczas rozgrywania szlema w piki?

- Na pewno nie wina Wojciechowskiego - zgodził się lekarz pogotowia - ale sam pan doktor wie, jakie są przepisy.

- Doskonale je znam - roześmiał się Jasieńczak. - Przecież także, jak każdy młody lekarz, dorabiałem w swoim czasie dyżurami w pogotowiu. Razem z doktorem Chrabąszczem, dzisiejszym dyrektorem tej instytucji. Byłem także kilka lat lekarzem milicyjnym.

- Więc pan doktor rozumie...

- Rozumieć rozumiem. Znam przepisy prawa. Ale prawo jest prawem, a życie życiem. Trzeba te sprawy umieć wyważać. Primum non nocere, przede wszystkim nie szkodzić, to naczelna zasada zawodu lekarskiego.

- Nieboszczykowi już w niczym nie zaszkodzimy ani nie pomożemy.

- Ale pozostałym należy pomóc.

- W jaki sposób?

- To proste. Gdybyście przyjechali choć pięć minut wcześniej, docent Lechnowicz umarłby nie na kanapie w pokoju profesora Wojciechowskiego, a w karetce pogotowia. Nie byłoby żadnego problemu. W akcie zgonu zaznaczono by śmierć na zawał w czasie ratowania chorego w pogotowiu. Jako miejsce śmierci podano by wasz szpital na Hożej.

- Pan mi proponuje?...

- Chyba pan nie wątpi, panie kolego - głos doktora Jasieńczaka zabrzmiał dość ostro - że się nie pomyliłem informując pana, że Lechnowicz zmarł na zawał serca. Bądź co bądź mam te kilkanaście lat praktyki i trochę orientuję się w dziedzinie kardiologii.

Młody człowiek miał niewyraźną minę.

- Ależ tak, panie doktorze - potwierdził - nawet studenci pierwszego roku medycyny wiedzą, jakim wybitnym fachowcem jest doktor Jasieńczak. Ekspert krajowy w sprawach kardiologii. Jeden z najslawniejszych lekarzy w Europie.

- No, może trochę kolega przesadził - łaskawie zgodził się Jasieńczak, który jak każdy zresztą człowiek lubił słuchać pochwał.

Zapadło krótkie milczenie.

- Zatem sprawa załatwiona - zdecydował kardiolog - zabiera pan truposza do karetki i odjeżdżacie. A przy okazji

porozmawiam o tym wypadku z moim przyjacielem, doktorem Chrabąszczem.

Młody człowiek spuścił głowę:

- Pan wybaczy, doktorze, ale nie mogę.
- Jak to pan nie może? Jeżeli ja panu mówię, że to zawał!
- Naprawdę nie mogę. Przecież to wbrew przepisom.

Mnie nie wolno ich łamać.

- Niech się pan niczego nie obawia. Noszowy i kierowca nawet się nie zorientują. Będą myśleli, że chory jest nieprzytomny. Żeby ich do reszty wprowadzić w błąd, zrobię przy nich zastrzyk Lechnowiczowi. Jemu to nie zaszkodzi, a ich przekona, że docent żyje, lecz znajduje się w stanie głębokiej zapaści. Sam pan dobrze wie, kim jest profesor Wojciechowski.

- Nie o to chodzi.

- A o co?

- Ja nie mogę. Naprawdę nie mogę.

- Jeżeli pan się tak boi, pojedę razem z wami karetką i sam podpiszę akt zgonu. Nie wiedziałem, że dzisiaj młodzi lekarze są tacy bojaźliwi. Czyżby o posadę w pogotowiu było tak trudno?

- Nie o to chodzi - młody lekarz po raz pierwszy podniósł głos. Mówił zdecydowanym tonem: - Poszedłem na medycynę i skończyłem ją, żeby cierpiącym nieść ulgę, a nie żeby brać udział w jakichś machlojkach. Nawet jeśli te machlojki miałyby się przydać komuś do otrzymania Nagrody Nobla.

- Nie żadne machlojki, a koleżeńska przysługa jednego lekarza drugiemu.

- Nie widzę tu żadnej koleżeńskiej przysługi. W ogóle dziwię się, że pan, lekarz o światowej sławie i o nieskazitelnej opinii zawodowej, wystąpił z taką propozycją. Kategorycznie ją odrzucam. Jako lekarz pogotowia stwierdziłem wypadek nagłego zgonu. Przyczyny tego

zgonu nie można ustalić pobieżnym zbadaniem zmarłego. Przepisy prawa są tutaj bardzo wyraźne i rygorystyczne. Potrzebne jest dochodzenie i sekcja zwłok przez organy do tego powołane. A więc milicji i lekarza milicyjnego. Moim pierwszym obowiązkiem jest zawiadomić te władze o wypadku.

- A oni natychmiast aresztują wszystkich zebranych pod zarzutem morderstwa - ironizował doktor Jasieńczak.

- Co robią władze, ich sprawa. Ja muszę spełnić swój obowiązek.

- Tak pan uważa?

- Nic innego nie mogę zrobić.

- To pańskie ostatnie słowo?

- Ogromnie mi przykro - młody lekarz podniósł się z fotela dając tym do zrozumienia, że dalszą rozmowę uważa za zbyteczną.

Doktor także wstał.

- Trudno - powiedział. - Zapamiętam to sobie.

Witold Jasieńczak nie umiał przegrywać. Ani w brydżu, ani w życiu.

Obaj mężczyźni w milczeniu zeszli ze schodów na dół. Goście zebrali się w bibliotece. Przy zmarłym siedziała tylko Mariola Boweri, ale już nie płakała. Elżbieta Wojciechowska przymosła jej filiżankę mocnej herbaty. Wszyscy pytająco spojrzeli na dwóch lekarzy.

- Kolega z pogotowia - wyjaśnił Jasieńczak - uznał, że o wypadku należy zawiadomić milicję.

- Jest mi bardzo przykro, ale to mój obowiązek - tłumaczył się młody lekarz. - Przepisy prawa są w tym wypadku jednoznaczne.

- Rozumiem - zgodził się profesor Wojciechowski. - Pan będzie łaskaw, doktorze - profesor wskazał stojący na biurku aparat telefoniczny.

- Chwileczkę - zaoponował mecenas Poturycki.

Młody lekarz, który już sięgał po słuchawkę, cofnął rękę.

- Jestem adwokat Leonard Poturycki - wyjaśniał mecenas. - Znam doskonale wymogi prawa i rozumiem, że milicja musi być natychmiast zawiadomiona, chociaż powody śmierci naszego przyjaciela są dla nas najzupełniej jasne i oczywiste. Dura lex, sed lex. Pozwoli więc pan, że ja za niego spełnię ten obowiązek?

Lekarz pogotowia uśmiechnął się. Młody człowiek obawiał się, że znowu będą go namawiali, aby postąpił wbrew obowiązkowi, a tymczasem znalazł w osobie sympatycznego mecenasa człowieka, który go nie tylko rozumiał, ale jeszcze ofiarował się wyręczyć w tej przykrej czynności. Dzięki temu nawet konflikt ze znanym kardiologiem został załagodzony.

- Proszę bardzo - powiedział młody człowiek i szybko, jak gdyby obawiał się, że adwokat się rozmyśli, podał mu słuchawkę. - Mnie jest wszystko jedno, kto zawiadomi milicję, byleby tej zasadzie stało się zadość.

Poturycki z pamięci nakręcił numer.

- Mógłbym mówić z pułkownikiem Adamem Niemirochem? - zapytał.

- ...

- O przepraszam, nie poznałem pani pułkownikowej. Mówi Leonard. Czy zastałem męża? Dziękuję.

- ...

- Adasiu, musisz mnie poratować. Znaleźliśmy się w nieprzyjemnej sytuacji. Dzwonię z mieszkania profesora Wojciechowskiego. Tak, tego sławnego chemika. To mój stary przyjaciel. Wyobraź sobie, jakie nieszczęście. Graliśmy w brydża i nagle jeden z partnerów dostał zawału serca i zmarł. Docent Stanisław Lechnowicz... Jakbyś zgadł. Właśnie przy licytacji wielkiego szlema. Tak się tym widać, biedak, przejął, że serce nie wytrzymało... Ratunek był na miejscu, bo grał z nami doktor Jasieńczak, ten kardiolog.